

GŁOSOWANIE NR 123

**W SPRAWIE LIKWIDACJI
DEMOKRACJI**

GŁOSOWAŁO 437

ZA 230

PRZECIW 107

WSTRZYMAŁO SIĘ 100

**Demokracja
w odwrocie**

WITAMY W AUTORYTARNYM ŚWIECIE

W numerze:

Nowy autorytarny świat

Michał Kuź 3

Szczepionka na Krym

Tomasz Szatkowski 9

Unijna waluta nie odstraszy Moskwy

Łukasz Czernicki 11

Putin strzelił sobie w kolano

Bolesław Piasecki 13

Nigel Farage. Euro Rozpruwacz

Tomasz Pichór 17

A jednak neokolonializm

Bartłomiej Radziejewski 20

Nowy autorytarny świat



MICHAŁ KUŹ

Redaktor „Nowej Konfederacji”

Nikt już nie kocha demokracji. Ma ona przeciwko sobie niezadowolonych populistów, zbuntowaną klasę średnią, brutalnych technokratów i prężne autorytaryzmy w Chinach i Rosji. Tak źle nie było do dawna.

Demokracja jest w globalnym odwróceniu. Jeśli wierzyć Freedom House Index, uznanemu za najbardziej miarodajny wskaźnik swobód obywatelskich oraz reprezentatywności rządów, to od ośmiu lat z rządu demokracji na świecie jest coraz mniej. Co gorsza, od rządów ludu coraz dalej odchodzą kraje takie jak Rosja, Kenia, Tajlandia i Argentyna, a więc państwa, które w swoich regionach są niezwykle wpływowe. Joshua Kurlantzick, autor książki „Democracy in Reverse” [w wolnym przekładzie: „Demokracja w odwróceniu”], pisze wręcz, że obecna sytuacja przypomina lata 30. XX w. Przyczyn jest naturalnie wiele, można je jednak podzielić na trzy grupy: załamanie demokratyzacji w Trzecim Świecie; wzrost potęgi euroazjatyckich autorytaryzmów i kryzys zaufania do rządów ludu w ich kolebce, na Zachodzie.

Fetysz demokracji i opadająca fala

Za Samuelem Huntingtonem powszechnie wyróżnia się trzy fale demokratyzacji.

Pierwsza zaczęła się w USA wraz z odejściem od arystokratycznego republikanizmu epoki założycieli w stronę rządów bardziej egalitarnych. W wieku XIX fala ta stopniowo obejmowała zaś zachodnią Europę. Druga nastąpiła po zwycięstwie aliantów w II wojnie światowej, a trzecia po upadku komunizmu. Wielu sądziło, że arabska wiosna jest częścią czwartej.

Po każdej fali obserwowaliśmy naturalnie cofkę lub też swoistą kontrfalę autokracji, a w czasach nam bliższych powstanie nowoczesnych autorytaryzmów i totalitaryzmów. W myśl teorii każde wezbranie demokracji miało jednak obejmować coraz większy obszar, a cofki miały być coraz płytsze.

Demokracje czwartej fali okazały się bowiem niezwykle niestabilne. Po części winne były temu nadmiernie rozbudzone oczekiwania, a po części „sprzedawanie” rządów ludu w pakiecie z wątpliwymi dobrodziejstwami Konsensusu Waszyngtońskiego.

Pomimo niezwykle wątpliwych empirycznych postaw do takiego twierdzenia

liberalną demokrację połączoną z liberalizacją handlu reklamowano w Trzecim Świecie jako panaceum na wszystkie jego bolączki. Wzruszeniem rąk zbywano argumenty, że czy nam się to podoba, czy nie, gwałtowne skoki gospodarcze i cywilizacyjne równie często dokonywały się w państwach autokratycznych, co demokratycznych.

**Ambiwalencja wobec
demokratyzacji w Trzecim
Świecie nakłada się na
bezprecedensowy spadek
zaufania do
demokratycznych instytucji
na samym Zachodzie**

Na efekty nie trzeba było długo czekać. Sytuacja gospodarcza wielu nowych demokracji nie ulegała poprawie, rosło rozczarowanie i korupcja, a rząd i lokalne elity traciły kontrolę nad gospodarką, bo kursy ich walut zostały już uwolnione, zaś zakłady pracy sprzedane zagranicznym inwestorom.

Co ciekawe, jak podkreśla Kurlantzick, w wielu krajach poziom korupcji za czasów twardych autorytaryzmów był mniejszy i bardziej unormowany niż w okresie demokratyzacji. Jak w carskiej Rosji, gdzie prowincjonalni urzędnicy mieli wyżywiać się sami, korupcja w okrzepłych dyktaturach stanowiła typ nieformalnego opodatkowania. W krajach demokratyzujących się w pierwszym okresie przemian korupcja natomiast gwałtownie wzrastała, stawała się nieprzewidywalna

i dotykała nawet zupełnie kluczowych funkcji państwa. Działo się tak, ponieważ kraje te znajdowały się w stanie, w którym nie wykształciły się jeszcze stabilne rządy prawa, a już zaniknęła silna władza dyktatorska, która poprzednio hamowała niezdrowe ambicje urzędników i oligarchów.

Zwiększona korupcja, niestabilność i gospodarcze osłabienie często sprawiają dziś, że świeżo zdemokratyzowany lud wylega na ulice niemal natychmiast po poprzedniej rewolucji. To scenariusz dobrze znany z Ukrainy właśnie, Egiptu, Tajlandii i licznych krajów latynoamerykańskich.

W pewnym momencie klasa średnia zaczyna się jednak bać kolejnych niepokojów wywołanych nowymi obietnicami bez pokrycia. Nawet jeśli drobni przedsiębiorcy i ludzie wolnych zawodów poparli poprzedni przewrót, to z czasem coraz mniej uśmiechają się im rządy populistów, często sięgających też po fundamentalizm religijny czy też hasła radykalnej rewolucyjnej redystrybucji. Klasa średnia, która jeszcze niedawno była uważana za ostoję demokracji, zaczyna więc coraz częściej popierać niedemokratyczną stabilizację w postaci rządów wojskowych lub co bardziej przewidywalnych dyktatorów. To przecież właśnie egipscy lekarze, nauczyciele i sklepikarze wiwatowali, gdy junta odsunęła od władzy prezydenta Muhammada Mursiego, który dzięki głosom klas niższych i poparciu organizacji islamskich wygrał w pełni demokratyczne i nienaganne proceduralnie wybory.

Protesty klasy średniej przeciwko pierwszej generacji demokratycznie wybranych polityków to jednak bynajmniej nie tylko egipska specjalność. Do podobnych zdarzeń dochodziło również w na Filipinach, w Wenezueli, Boliwii, Kenii, Tajlandii i na Tajwanie. Na całym świecie

politykę coraz częściej robi się na ulicach, a coraz rzadziej przy urnie. Demonstranci chcą zaś nie zwiększania, lecz zmniejszenia demokracji, w zamian za wprowadzenie porządku. Kurlantzick nazywa to wręcz rewoltą klasy średniej.

Czarni Rycerze ze wschodu

To jednak nie jedyny problem współczesnych demokracji. W wielu regionach świata na problemy gospodarcze nakłada się też rosnący wpływ Rosji i Chin. W literaturze politologicznej utarło się nawet zabawne określenie: „efekt czarnego rycerza”. Mianem tym określa się mechanizm, dzięki któremu silny i sprawny autorytaryzm hamuje demokratyzację krajów sąsiednich lub umacnia w nich systemy dyktatorskie.

Istotnie, dziś brutalna skuteczność armii Putina i gospodarcza siła Chin zadziwiają i fascynują nawet Zachód. Nie trzeba więc chyba tłumaczyć, jaki wpływ ma polityka tych potęg na państwa takie jak Białoruś, Turkmenistan, Mongolia czy Kazachstan.

Sukces modelu chińskiego tłumaczyć można też logiką globalizacji, która od władzy politycznej coraz częściej wymaga podejmowania trudnych decyzji w krótkim czasie i unikania żmudnych konsultacji społecznych. To zaś coś, co autorytaryzmy robią zdecydowanie lepiej niż demokracje.

Przykłady są zaś aż nadto dobitne. Chiny dysponują obecnie największymi na świecie rezerwami walutowymi. Pekin może z łatwością udzielać wielkich pożyczek, inwestować na ogromną skalę, niszczyć lub budować gospodarki krajów ościennych. W tym samym czasie amerykańska gospodarka turla się od jednej kongresowej batalii o zatwierdzenie już

zaplanowanych wydatków do drugiej, polityka się o kolejne procedury, straszy rynki finansowe, a nawet wysyła amerykańską budżetówkę na bezpłatne urlopy.

Wzorem są zresztą nie tylko Chiny. Pograżone w politycznym chaosie demokratyczne Filipiny tuż za miedzą mają stabilny, zasobny Singapur, który organizuje wprowadzić fasadowe wybory, w praktyce jest jednak autorytarnie zarządzany przez spadkobierców słynnego Lee Kuan Yew (obecnym premierem jest najstarszy syn Lee). Eksperymentujący z rządami ludu Irak sąsiaduje zaś z coraz lepiej sobie radzącym i w miarę stabilnym Iranem. Porzucone przez Zachód i podbijane przez Putina ukraińskie społeczeństwo może zaś już wkrótce zacząć zazdrościć autorytarnym Białorusinom.

Autorytaryzmy nie są też bynajmniej bierne. Celowo wspierają finansowo i militarnie siły dążące do obalenia wątłych demokracji i rządy już niedemokratyczne. Pograżona w kryzysie Ukraina Janukowycza już, już sięgała do rosyjskiej kiesy, która miała się dla niej otworzyć bez niepotrzebnych warunków wstępnych. Doszło jednak do rewolucji, więc dziś Rosjanie finansują „spontaniczne” prokremlowskie demonstracje w Doniecku, Charkowie i Sewastopolu. Afrykańscy dyktatorzy z kolei mogą łatwo przyciągnąć chińskich inwestorów i obłowić się bez owego demokratycznego pouczenia, które zwykle słyszą z Zachodu.

Gdy zaś marchewka nie pomaga, zawsze można użyć kija. Ukraina z nieregulowaną kwestią granic na wschodzie nie ma raczej szans na otwarcie drogi do członkostwa w UE czy NATO, co z pewnością ułatwiłoby wydatnie jej demokratyzację. Podobnie sprawy się mają z Gruzją po wojnie z roku 2008. Sfinlandyzowany

przez Chiny Tajwan też raczej nie będzie się zachowywał tak wojowniczo jak za czasów gen. Chiang Kai-sheka.

Patrząc na to, jak łatwo jest państwowym niedemokratycznym prowadzić bezczelnie skuteczną politykę zagraniczną, niektórzy zachodni politycy i analitycy zaczynają również skłaniać się ku zimnowojennej logice w stylu „nasz dyktator lepszy od ich dyktatora”. Po obaleniu Mursiego jest to, np., półoficjalna doktryna w stosunkach amerykańsko-egipskich.

„Nasi rodzice byli wdzięczni za to, że pozwolono im głosować, my jesteśmy pierwszym pokoleniem, które mówi, iż głosowanie jest bez sensu”

Znany amerykański dziennikarz i politolog Fareed Zakaria w swojej książce „The Future of Freedom: Illiberal Democracy at Home and Abroad” [w wolnym przekładzie: „Przyszłość wolności: nieliberalna demokracja w USA i na świecie”] twierdzi wręcz, że światła oligarchia wyznająca coś, co nazywa on „liberalnym konstytucjonalizmem”, jest lepszą opcją niż nieliberalna, tępiąca mniejszości i innowierców demokracja. Zakaria uważa, np., że Indie i Pakistan są tak nietolerancyjne i nieskore do pojednania, bo jest w nich za dużo – a nie za mało – demokracji. Słowem, rządy mniej reprezentatywne wyszłyby wszystkim na zdrowie.

Czytając Zakarię, traci się jednak momentami pewność, czy aby chodzi mu jedynie o pogromy hinduskich muzułmanów

i pakistańskich hinduistów oraz o fundamentalistyczne ciągoty egipskiego bractwa muzułmańskiego. Zakaria jest bowiem zażartym obrońcą Konsensusu Waszyngtońskiego. Nie jest więc pewne, czy popieranie oligarchii, które będą przetrzącać karki opozycyjnym siłom politycznym, służy dobru danego kraju i propagowaniu tolerancji, czy też raczej interesom zachodnich inwestorów.

Dryf demokracji na Zachodzie

Co ciekawe, ambiwalencja wobec demokracji w Trzecim Świecie nakłada się na bezprecedensowy spadek zaufania do demokratycznych instytucji na samym Zachodzie. Partie, które różnią się już tylko nazwami, z roku na rok mają mniej członków, a wybory odbywają się przy coraz mniejszej frekwencji. Nic zresztą dziwnego, tak jak w przypadku ACTA bezimienne biurokracje coraz częściej załatwiają swoje interesy nad głowami obywateli.

W konsekwencji zaufanie do demokracji mierzone przez Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju spadło w ostatnich siedmiu latach we wszystkich krajach UE, z wyjątkiem Bułgarii. Na Słowacji i Węgrzech spadek wyniósł zaś ponad 20 proc. W USA Kongres odnotowuje tymczasem najniższe poparcie od czasów swojego powstania. Słabnie też, swego czasu szeroko opisywany, efekt dyfuzji demokracji z zachodu na wschód. Zdaniem Freedom House w dekadę od przystąpienia do Unii Europejskiej transparentność wyborów, wolność słowa i ogólny stan demokracji uległy pogorszeniu u wszystkich bez wyjątku nowych członków wspólnoty.

Polityka na Zachodzie, podobnie jak w Azji i Ameryce, coraz częściej wychodzi też na ulice. Kurlantzick cytuje np. młodą

Hiszpankę, która podczas demonstracji stwierdziła: „Nasi rodzice byli wdzięczni za to, że pozwolono im głosować, my jesteśmy pierwszym pokoleniem, które mówi, iż głosowanie jest bez sensu”.

W podobnym tonie wypowiadał się nieformalny przywódca młodej włoskiej lewicy Beppe Grillo, po tym jak prezydent Giorgio Napolitano po raz trzeci z kolei, dość arbitralnie, wyznaczył nowego „technicznego” premiera. Na nominację Matteo Renzi Grillo zareagował suchym podsumowaniem, że nie ma już zupełnie zaufania ani do szefa rządu, ani do samej demokracji.

Włosi nie przejmują się jednak specjalnie kolejnymi zmianami u steru władzy, dopóki rządowi udaje się uniknąć ostrego hiszpańskiego kryzysu. Amerykański historyk idei Paul Rahe nazywał podobne zjawisko dryfowaniem demokracji w kierunku Tocqueville’owskiego miękkiego despotyzmu i twierdził, że na Zachodzie rozpoczęło się ono wraz z upadkiem komunizmu. Jak pisze, „nagłe osiągnięcie przez liberalną demokrację absolutnej hegemonii” powitano „w najlepszym razie z ostrożnym optymizmem, a w najgorszym z poczuciem rezygnacji”.

Dziś dojrzelismy już jednak do sytuacji, w której znudzenie, o jakim pisał Rahe, zamienia się w złość, a nawet rozpacz. Młode pokolenie Europejczyków nie ma ani pełnej wolności, ani materialnej stabilizacji, ani więzi na poziomie małych wspólnot i rodzin.

To, co nasza cywilizacja oferuje w zamian, Marcin Król trafnie zaś określa jako współczesną wersję oświeconego absolutyzmu. Chodzi w nim o to, aby wyemancypowanych do cna indywidualistów rozbroić i oderwać ostatecznie od polityki, pozostawiając ją wyłącznie „specjalistom”. Zdaniem Króla w tak spreparowanym

społeczeństwie pomału wzbiera jednak owo „coś”, ów radykalizm, który przy braku alternatywy ma z jednej strony zastąpić utracone więzi, a z drugiej zburzyć absolutystyczny ład. Dlatego Król w swojej nowej książce („Europa w obliczu końca”) nawołuje do powrotu do myślenia o równości, a widmo rewolucji znów krążące po świecie zachodnim określa enigmatycznym mianem „istotnych zdarzeń o charakterze wstrząsowym”.

Nowe średniowiecze i republikanizm

Osobiście jestem jednak jeszcze mniejszym optymistą od Króla. Nikt nie będzie reformował zachodnich demokracji ze strachu przed rewolucją. Rewolucje zawsze organizują ludzie młodzi, a przy obecnej dynamice demograficznej na Zachodzie jest ich już zwyczajnie za mało. Jest więc niezwykle prawdopodobne, że w końcu utrwali się w naszej cywilizacji mniej lub bardziej oligarchiczny system, który w moim eseju określiłem kiedyś średniowieczem w wersji 2.0. Dodatkowo władzę nowych feudałów w starej Europie stabilizować będą zarówno Chińczycy, jak i Rosjanie oraz Amerykanie. Wszystkie światowe potęgi traktują bowiem zachodnią Europę trochę jak skrzyżowanie banku, skansenu i eleganckiego country clubu; na rewolucji nikomu nie zależy.

Sytuacja nie jest naturalnie zupełnie beznadziejna. Lekarstwem zdaje się tu świadomy, powolny powrót do pewnej formy klasycznego republikanizmu, który łączył troskę o wartości komunitarne z pełną jawnością instytucji i przejrzystymi mechanizmami sukcesji.

Być może taki nowy stary republikanizm będzie musiał istotnie ukrócić pewne autodestrukcyjne tendencje masowej demokracji. Rousseau w „Uwagach nad rzą-

dem Polski” zalecał m.in., aby obywatelstwo i prawo głosu przyznawać jedynie osobom, które przedtem złożą specjalny egzamin. Teoretycy nowych procedur demokratycznych piszą zaś np. o cyfrowo generowanych mechanizmach „demokracji płynnej”.

Zanim zacznie się planować nowe republiki, należy jednak zaznaczyć, że re-

publikanizm prawie nigdy nie wygrywa dzięki brutalnej sile. Jego bronią były raczej cierpliwość i sprytne wykorzystywanie odpowiednich historycznie republikańskich momentów. Współcześnie oznacza to zaś, że droga do owego nowego ustroju republikańskiego, czymkolwiek miałby on być, wiedzie przez długą dolinę wypełnioną postpolitycznym mrokiem.

Szczepionka na Krym



TOMASZ SZATKOWSKI

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”,
prezes Narodowego Centrum Studiów Strategicznych

W związku z wydarzeniami na Ukrainie sytuacja Polski stała się bardzo poważna. Nie ma teraz wiele czasu na głębokie reformy naszej armii. Należy już dziś przygotować rezerwistów i sprzęt.

Prawdopodobieństwo wciągnięcia Polski w regionalny konflikt wynosi wciąż mniej niż 50 proc., ale staje się już realną perspektywą, która wymaga konkretnych działań. Na łamach „Nowej Konfederacji”, a także w innych mediach często zwracałem uwagę na potrzebę bardziej strategicznego i długoterminowego podejścia do zagadnień obronnych.

Obecna sytuacja wprowadza jednak nową dynamikę, snucie planów modernizacyjnych i wprowadzanie głębokich zmian schodzą przejściowo na margines. Teraz jest czas na działanie w ramach istniejących mechanizmów i maksymalne przygotowanie się do kryzysu w krótkiej perspektywie. Plany głębszych reform można wciąż kreślić. Nie można jednak dziś podporządkowywać istotnych interesów naszego bezpieczeństwa w najbliższej perspektywie, na rzecz korzyści osiągalnych za ileś lat.

Już teraz np. rząd powinien być gotowy do tego, żeby powołać członków narodowych sił rezerwowych choćby na jakiegoś rodzaju ćwiczenia. Należy też pra-

cować nad wkomponowaniem rezerwistów w struktury sił bojowych. Mobilizacja rezerw i ich rozlokowanie może mieć teraz znaczenie strategiczne, nawet jeśli nie staniemy się elementem działań wojennych. Sama obecność naszych oddziałów w stanie podniesionej gotowości we wschodniej części kraju powodowałaby bowiem, że Rosjanie nie mieliby pełnej swobody manewru i część ze swoich sił musieliby trzymać w rezerwie na wypadek nieprzewidzianych zachowań z naszej strony. W razie konfliktu na Ukrainie byłoby np. mniej skłonni do prowadzenia działań z terenu Białorusi.

Kolejna sprawa to odświeżanie zapasów magazynowych i przymierzenie się do rozkonserwowania rezerwowego sprzętu. Musimy m.in. uruchomić zakłady remontowe i już teraz zlecić im dodatkowe prace przy podnoszeniu gotowości sprzętu wojskowego. Pamiętajmy, że w 1939 r. nasze skromne siły pancerne odniosły większe straty w wyniku braku zaplecza technicznego i logistycznego niż w wyniku działań bojowych. Powinno się już teraz

zwiększyć zakupy amunicji i części zamiennych, gdyż w wielu obszarach ich ilość jest niewystarczająca.

Co do nowego sprzętu, to w sytuacji, kiedy perspektywa konfliktu staje się dla Polski realna, kluczowa jest możliwość szybkiego wprowadzenia sprawnych i sprawdzonych maszyn. Będzie to w najbliższym czasie zwiększało amerykańskie szanse na uzyskanie polskich zamówień. Do amerykańskiego sprzętu i korzyści przemysłowych płynących z jego zakupu można bowiem mieć różne zastrzeżenia, w jego przypadku istnieje jednak możliwość bardzo szybkiego rozlokowania. Jest on zarazem sprawdzony i kompatybilny z ewentualnym wzmocnieniem ze strony naszego najważniejszego sojusznika.

Nie należy jednak mieć przy tym złudzeń. To my sami musielibyśmy wziąć na siebie główne brzemie działań lądowych. Amerykanie naturalnie zmienili swoją retorykę wobec Rosji, nie widzą jednak zmian dotyczących instrumentów wojskowych. Wręcz przeciwnie, niedawno ogłoszono w Stanach kolejną serię cięć dotyczącą wojsk lądowych. To, z czym mamy obecnie do czynienia, czyli przylot amerykańskich samolotów bojowych i radiolokacyjnego AWACS, jest naturalnie ważne. Należy się za to Amerykanom uznanie, zwłaszcza na tle biernej postawy Europy Zachodniej. Działania te wpisują się jednak w model nowego „zdalnego” zaangażowania mobilnych oddziałów. Nie będzie raczej w Polsce ciężkich jednostek lądowych, które przysłyby tu z całą mocą US Army i na dłużej tutaj stacjonowały.

W dłuższej perspektywie polska obronność potrzebuje więc zdolności do efektywnej i zgodnej z narodowym interesem alokacji środków finansowych na obronność. Do tego potrzebna zaś będzie

nowa klasa ekspertów zdolnych spojrzeć na obronność nie tylko przez perspektywę wyuczonyj roli w danej specjalności wojskowej, lecz biorąca także pod uwagę inne interesy państwa, w tym przemysłowe.

Sprawa koniecznej reformy systemu rezerw osobowych również wymaga dłuższej perspektywy. Niemniej na tę reformę warto by akurat znaleźć nieco czasu. Obecnie nastąpił bowiem moment, w którym można byłoby podjąć odważną decyzję o odwieszeniu poboru. Jeśli bowiem sytuacja militarna będzie się pogarszać, trzeba będzie zacząć powoływać ludzi według starego systemu, nawet jeśli zgodzimy się, że ma on sporo wad.

Sama obecność naszych oddziałów w stanie podniesionej gotowości we wschodniej części kraju powodowałaby, że Rosjanie nie mieliby pełnej swobody manewru

Oprócz jakości liczy się bowiem ilość, w tym potencjał ludzki i możliwość uzyskania szybkich uzupełnień. Sytuacja na Krymie jasno pokazuje, jak ważne jest uniemożliwienie przeciwnikowi stworzenia faktów dokonanych. Łatwiej jest to natomiast zrobić, mogąc dany obszar nasycić własnym wojskiem, nawet jeśli to wojsko nie najwyższej jakości. Nie wspominając już o tym, że służba wojskowa jest czynnikiem budującym obywatelską troskę o obronność kraju.

Unijna waluta nie odstraszy Moskwy



ŁUKASZ CZERNICKI

Ekonomista,

ekspert w zakresie polityki monetarnej i makroekonomii

Stwierdzenia prezesa NBP to frazesy. W razie zachwiania naszej gospodarki w związku z polityką Rosji, np. znaczącej podwyżki cen gazu, fakt bycia w strefie euro niewiele by zmienił.

Polsce byłoby łatwiej bronić swych interesów i wyrażać opinie, gdyby była w strefie euro – ocenił w poniedziałek prezes Narodowego Banku Polskiego prof. Marek Belka, ożywiając debatę wokół kwestii przystąpienia Polski do eurostrefy. Jako pretekst posłużył mu zaś obecny kryzys na Ukrainie.

Belka swą argumentację dzieli na dwa obszary: polityczny i ekonomiczny. Jeśli chodzi o argumentację ekonomiczną, prezes NBP ma rację, twierdząc, że kryzys na Ukrainie zasadniczo niczego nie zmienia. Nie wpływa bowiem na rachunek zysków i strat wynikający z przyjęcia wspólnej waluty. Kryteria związane z gospodarką przemawiają więc za pozostaniem poza strefą euro.

Jeśli chodzi o sferę polityczną, prezes NBP argumentuje zaś, że to, co się dzieje w związku z Ukrainą, przeważa szalę argumentów na rzecz przystąpienia do strefy euro. „Jeśli wierzy się, że kryzys ukraiński pokazuje, iż Polska nie jest tak bezpieczna, jak myśleliśmy, to należy zacząć myśleć, jak możemy wzmocnić bezpieczeństwo

Polski” – mówił. Jego zdaniem odpowiedzią na to pytanie jest obecność w centrum ekonomicznych i politycznych interesów świata.

„Mam wrażenie, że jeżeli jest się wewnątrz strefy euro, to łatwiej jest krajowi takiemu jak Polska wyrazić swój punkt widzenia i interes, wpływać na inne duże europejskie kraje” – przekonywał. Dodał, że problemy gospodarki kraju spoza strefy euro mają jedynie pośredni wpływ na kraje strefy euro. „Będąc w strefie euro, każda destabilizacja gospodarki ciąży istotnie na pozostałe kraje strefy [...]” – zaznaczył.

Stwierdzenie Belki, że będąc w strefie euro, łatwiej wyrazić swój punkt widzenia i interes, to jednak tylko frazes rzucony w przestrzeń. Poza tym ocena polityczna naszego potencjalnego członkostwa w strefie euro, której dokonał prezes NBP, jest daleko niepełna. Należy w niej uwzględnić także takie aspekty jak choćby plany ustanowienia unii bankowej czy możliwość wpływania na politykę gospodarczą państw członkowskich. Oba te czynniki zaliczam

do kosztów przyjęcia wspólnej europejskiej waluty. Poza tym kryzys w strefie euro jeszcze się nie skończył i tak naprawdę nie wiadomo, jaki będzie on miał wpływ na decyzje polityczne i gospodarcze poszczególnych krajów, a tym samym na kształt przyszłej unii walutowej.

Jeśli zaś chodzi o argument, że „będąc w strefie euro, każda destabilizacja gospodarki istotnie ciąży na pozostałe kraje strefy”, to rodzi się pytanie, na czym tak naprawdę mogłaby polegać taka destabilizacja naszej gospodarki, aby członkostwo w strefie euro mogłoby nam pomóc. Gdyby rzeczywiście doszło do zachwiania naszej gospodarki w związku z polityką Rosji, np. znaczącej podwyżki cen gazu, to fakt bycia w strefie euro niewiele by zmienił. Nie oczekiwałbym też wtedy znaczącej reakcji całej strefy euro bądź jej najważniejszych graczy.

Ważniejszym czynnikiem zabezpieczającym, który umacnia naszą pozycję, jest tak naprawdę powiązanie naszej gospodarki z gospodarką niemiecką. Niemcy są bowiem skłonne do zdecydowanych reakcji w obliczu poważniejszych strat ekonomicznych. Podczas kryzysu kraj ten wziął na siebie ciężar ratowania upadających państw peryferyjnych. Przede

wszystkim po to, by uchronić swój sektor finansowy i zainwestowane na południu oszczędności.

W mojej ocenie rachunek ekonomiczny za nasze przystąpienie do strefy euro jest wysoki. Korzyści byłyby bowiem znikome, a potencjalne zagrożenia duże

Założmy np., że kryzys wywołany przez Rosję wpłynąłby negatywnie na dostawy Volkswagena z Poznania do Niemiec. Wtedy rzeczywiście spodziewałbym się jakiejś reakcji ze strony Niemiec, które są najważniejszym graczem w całej Unii Europejskiej. To, czy będziemy członkiem strefy euro, czy nie, nie będzie jednak miało większego znaczenia. Co więcej, w mojej ocenie rachunek ekonomiczny za nasze przystąpienie do strefy euro jest wysoki. Korzyści byłyby bowiem znikome, a potencjalne zagrożenia duże.

Putin strzelił sobie w kolano



BOLESŁAW PIASECKI

Redaktor „Nowej Konfederacji”

Obecnie, niezależnie od zmyślnych celów, jakie stawiał sobie przywódca Kremla, udało mu się doprowadzić do tego, co nigdy nie było dla Rosji korzystne: skupienia uwagi USA na Europie.

Kroki podjęte przez Władimira Putina będące odpowiedzią na obalenie Wiktora Janukowycza są oceniane bardzo różnie. Jedni zachwycają się skutecznością i bezduszością Rosji, inni zarzucają Kremlowi szaleństwo, jeszcze inni śmieją się z Zachodu, który w ich mniemaniu kolejny raz nie zrobił nic.

Relatywna racjonalność

Jakkolwiek dalekie od siebie są te stanowiska, to łączy je jedna wspólna cecha – są błędne. Krytyka argumentu o irracjonalności Putina autorstwa Bartłomieja Radziejewskiego na łamach „Nowej Konfederacji” już się pojawiła. Proponuję spojrzeć nieco odmiennie na aspekt racjonalności. Sam koncept racjonalnego działania w stosunkach międzynarodowych jest szeroko dyskutowany i trudno mieć nadzieję, że badacze osiągnęli w tej kwestii konsensus. Łatwiej będzie mi przekonać czytelników do poglądu, że ocenianie decyzji Putina jako racjonalnej lub nieracjonalnej jest z gruntu pozba-

wione sensu, przynajmniej w obecnej formie.

Jednym z podstawowych błędów w analizie jest przypisywanie analizowanemu graczowi swoich motywacji, myśli, systemu wartości czy interpretacji rzeczywistości. Przykładanie miary racjonalności szeroko rozumianego Zachodu do Rosji po prostu nie ma sensu, a mimo to jest szeroko praktykowane.

Rosyjska elita władzy, z różnych przyczyn, myśli i obserwuje świat w sposób odmienny od swoich zachodnich odpowiedników. Inaczej także podejmuje decyzje, kierując się innymi czynnikami. Czy zatem warto zarzucać Putinowi irracjonalność posunięć, kiedy racjonalność zdaje się co innego oznaczać nad Moskwą? I w końcu co pozwala nam myśleć, że nasza racjonalność jest racjonalniejsza od racjonalności Moskwy? Uważam, że Rosja jest szeroko niezrozumiana, a już szczególnie jej elity władzy.

Część komentatorów zachwyca się zabójczą skutecznością Putina, przy tym śmiejąc się ze słabego Zachodu. Śpiewka

to znana, dosyć popularna, a w przeszłości także prawdziwa. Wystarczy rzucić hasłami w stylu „reset” czy „Syria” i już bez większej wiedzy można stawiać tezę, że dyplomacja zachodnia (czy też amerykańska) jest słaba i nie może poradzić sobie z wyrażonym graczem.

Niejako z automatu administracji Baracka Obamy, za którą osobiście, eufemistycznie mówiąc, nie przepadam, przypięto metkę mięczaków i przegranych. Cóż, w tym wypadku znacznie za wcześnie. Niezależnie od celów, które stawia sobie Kreml, obecna sytuacja nosi znamiona długodystansowej porażki. Rosja operacyjnie de facto kontroluje Krym, mogąc próbować tam tworzyć zależną od siebie quasi-republikę. Jeżeli tylko na tym zależało Rosji, to zrobiła to w sposób niebawale nieadekwatny.

Błędy Rosji

Zamiast rozgrywać rzeczywiste separatyzmy za pomocą służb specjalnych, mniejszości i naturalnych tendencji, zareagowała zbrojnie tak, że żaden obserwator nie może mieć złudzeń co do charakteru inwazji, jednocześnie niwelując korzystne dla siebie czynniki obiektywnie występujące.

Nic też nie jest teraz tak potrzebne Ukraińcom jak mit założycielski. A cóż lepiej może pasować niż poczucie zagrożenia ojczyzny przez wieloletniego wroga? Wroga? Owszem, w tym momencie wroga. Jakkolwiek aktualne są proste podziały językowe na Ukrainie, to należy uznać, że spuścizna szeroko popieranego Euro-majdanu doskonale współgra z wspomnianym czynnikiem zewnętrznej agresji. Razem stworzy to mocne spoiwo dla Ukraińców.

Uniknięcie eskalacji konfliktu to być może gorzka, ale bardzo słuszna decyzja. Trudno nie odnieść wrażenia, że Ukraińcy odrobili lekcje gruzińską. Co więcej, z taktyki tej mogą wyjść relatywnie zwycięsko (w przeciwieństwie do starcia militarnego), gdyż separatyzmy i „spontaniczne” niepokoje w innych częściach kraju zdają się wytracać intensywność. Natomiast w przypadku otwartej wojny czołgi rosyjskie nie zatrzymałyby się na Doniecku.

**Na tę chwilę Putin
długofalowo znacznie więcej
traci, niż zyskuje,
kontrolując Krym, który
i tak w obszarach
koniecznych mógłby
kontrolować znacznie
mniejszym kosztem**

Nie ma końca żartom z wyrazów oburzenia Zachodu. Oczywiście rozumiem konwencję, niemniej, jeżeli chcemy debatować poważnie, to trzeba stwierdzić, że dyplomacja ma swój język i musi w nim mówić. Gorzej jeżeli z wyrazów oburzenia „robi cholewę”. W tym przypadku nie jest to jednak prawdą i trudno powiedzieć, aby powtarzał się kazus Gruzji.

Oczywiście życzyłbym sobie bardziej stanowczej reakcji Zachodu, jednak trzeba pamiętać o dwóch czynnikach. Po pierwsze: dyplomacja ma reagować stosownie do skali wydarzenia. Uwagi, które padały o tym, że odpowiedź NATO powinna być zbrojna, charakteryzują się zaś co najmniej

brakiem wyobraźni. Po drugie: jak na standardy zachodnie i najnowszą historię, reakcja na wydarzenia na Ukrainie jest bezprecedensowa. Choćby z tego powodu nie warto wrzucać jej od razu do worka „porażki Zachodu”.

W chwili obecnej, niezależnie od zmyślnych celów kremlowskich tęgich głów, udało się im doprowadzić do tego co nigdy nie było dla Rosji korzystne: skupienia uwagi USA na Europie. W żadnym razie nie można mówić o radykalnej zmianie amerykańskiej strategii czy drugiej zimnej wojnie, niemniej amerykańskie czołgi wróciły do Europy.

Odpowiedź Waszyngtonu

Myśląc w kategoriach wybitnie wojskowo-siłowych i wciąż uważając, że Rosja jest więc zagrożona inwazją z USA, kręgi decyzyjne w Moskwie muszą pluć sobie w brodę. Może się okazać, że Putin przeliczył i sprowokował reakcję, jakiej nikt się nie spodziewał. USA podwoiły liczbę samolotów na niebie państw bałtyckich (granic NATO), w przyszłym tygodniu do Polski zawita 12 amerykańskich F-16 wraz z 300-osobową obsługą. Stany Zjednoczone prawdopodobnie pozostawiły dwa okręty 6. Floty na Morzu Czarnym i planują wprowadzić kolejny z grupy lotniskowca USS G.H.W. Bush.

Pamiętajmy, że dla Rosjan takie gesty mają znaczenie, a stacjonowanie wojsk „głównego wroga” na terenach jeszcze nie tak dawno zależnych od Moskwy postrzegają oni jako istotne zagrożenie. Co więcej, istnieją szanse na przyspieszenie budowy tarczy antyrakietowej w Polsce, do której stosunek Kremla jest wszystkim dobrze znany. Należy też podkreślić, że amerykański Kongres w sprawie Rosji działa jednomyślnie i szybko. Admini-

stracja Baracka Obamy ponadto miała, według „New York Timesa”, podjąć decyzje o eksporcie gazu do Europy (4 razy tańszego niż rosyjski). Skutki takiego ruchu są trudne do oszacowania i byłby to prawdziwy „game changer”.

Co więcej, planowane są ćwiczenia w Polsce, do tego Ukrainie oferowana jest pomoc finansowa w wysokości 1 mld od USA, a także 11 mld od UE. Jakby tego było, Stany sygnalizowały chęć zmiany polityki zbrojeniowej wobec Europy Środkowo-Wschodniej, co może mieć dla Polski kolosalne znaczenie w uzyskaniu potencjału odstraszania. Czy to wszystko byłoby możliwe bez zajęcia Krymu? Słowem: tylko Putin mógł przekonać USA i Zachodnie społeczeństwa do innego spojrzenia na Rosję.

Czy dzisiaj wypowiedź republikańskiego kandydata na prezydenta w wyborach 2012 r. Mitta Romneya o tym, że Rosja jest „głównym wrogiem”, wywołałaby takie zdziwienie jak dwa lata temu? Dzisiejsza Ameryka Rosji nie rozumie uważa ją za problem drugiego rzędu i to jest sedno zagadnienia słabości w relacjach z Rosją. Zawsze ważniejsze są Bliski Wschód, Chiny, Azja Południowo-Wschodnia czy w końcu tematy wewnętrzne, które znacznie bardziej rozgrzewają debatę publiczną w USA.

Swoim ostatnim zachowaniem Rosja zrobiła jednak wiele, aby awansować na amerykańskiej liście priorytetów. I tu akurat zgadzam się z Bartłojem Radziejewskim – tak, należy wykorzystać otwierające się okno, ponieważ nie wiemy, jak krótka może być pamięć Zachodu. Na tę chwilę Putin długofalowo znacznie więcej traci, niż zyskuje, kontrolując Krym, który i tak w obszarach koniecznych mógłby kontrolować znacznie mniejszym kosztem.

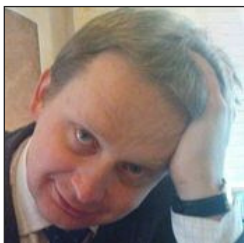
Nie sądzę, że USA czy Niemcy zmienią drastycznie swoje relacje z Rosją, myślę jednak, iż wydarzenia na Krymie wpłyną na relacje między wielkimi graczami w sposób korzystny dla tych, którzy w tej rozgrywce nie biorą udziału na pełnych prawach.

Można narzekać, że konsekwencje nie są duże, że Europa wciąż podzielona liczy przede wszystkim pieniądze, zamiast patrzeć w przyszłość przez pryzmat mapy i mając w tyle głowy historię. Putin swoim działaniem kolejny raz podarował doskonałą kartę tym, którzy starają się przekonać, że w wielu aspektach Związek Sowiecki ma się nieźle. Jeżeli dalsze, noszące obecnie znamiona nerwowości, działanie Rosji będzie dążyć od eskalacji sytuacji, NATO może przyspieszyć perspektywę

członkostwa Gruzji. Szerzej rozumiany Zachód może zaś użyć potężnych narzędzi finansowych i, o ile będzie w stanie ponieść konieczne koszty, złamać nimi Putina.

Co więcej, trudno powiedzieć, żeby sytuacja Rosji rozwijała się pomyślnie, i temu, za Piotrem Maciążkiem, przypisuję wspomnianą nerwowość ruchów. Naturalnie, trzeba pamiętać o nikłych szansach na kompleksowe i dobitne sankcje, jednak w obecnym rozrachunku Putin swoim głośnym zachowaniem nieco przeszarżował. Czy pies z kulawą nogą zainteresowałby się „nową” Ukrainą, gdyby Rosja, po szczycie w Wilnie, przestała się bezpośrednio mieszać? Wątpię, wszystko potoczyłoby się po cichu, jak już to wielokrotnie w historii bywało...

Nigel Farage. Euro Rozpruwacz



TOMASZ PICHÓR

Wydawca, okazynie publicysta.

Zastępca redaktora naczelnego miesięcznika „Uważam Rze Historia”

Antyunijny UKIP rośnie w siłę, jego zbliżenie z konserwatystami może zmienić politykę na Wyspach Brytyjskich. Doszłoby wtedy do referendum w sprawie członkostwa w UE.

Tradycją jest już nie tylko to, że wybory do Parlamentu Europejskiego stały się w większości państw Unii okazją do krajowej próby sił pomiędzy głównymi partiami politycznymi. Niechlubnym zwyczajem jest również to, że do PE zsyłani są politycy na swoistą emeryturę, bowiem ciągle rzeczywista politykę „robi się” w parlamentach narodowych.

Zaplanowana na koniec maja elekcja szczególnie porusza wywołuje w Wielkiej Brytanii. Nie tylko dlatego, że urzędująca liberalno-konserwatywna koalicja traci poparcie społeczne na rzecz opozycji, zaś premier David Cameron coraz uważniej musi szukać w szeregach własnej partii kandydata do odegrania roli Brutusa.

Cameron w odwrocie

Jeśli wierzyć sondażom opinii publicznej, to w wyborach europejskich na świetny wynik może liczyć eurosceptyczna Partia Niepodległości Zjednoczonego Królestwa (UKIP), ustępując pierwszeństwa jedynie Partii Pracy, ale wyraźnie górując nad współrządzącą Partią Konserwatywną.

Sondaż, przeprowadzony w styczniu 2014 r. na zlecenie dziennika „The Sun” przez ośrodek YouGov, pokazał, że o ile laburzyści mogą zdobyć 32 proc. głosów i 28 mandatów do PE (więcej o 15), to UKIP może liczyć na 26-procentowe poparcie i 23 mandatów (więcej o 10), liczba konserwatywnych eurodeputowanych spadłaby do 15 (mniej o 11 miejsc), zaś koalicyjni liberałowie utracą wszystkie swoje miejsca w europarlamencie (11).

Wzrost siły UKIP to bez wątpienia zasługa lidera Nigela Farrage’a. Założona w 1993 r. Partia Niepodległości w wyborach w roku 1997, zdobyła ok. 100 tys. głosów. W 2004 r. uzyskała już 12 mandatów do europarlamentu, a w roku 2010 cieszyła się już zaufaniem blisko miliona brytyjskich wyborców.

Do partii należy ok. 150 radnych. W wielu wyborach uzupełniających uzyskiwała też ona drugie miejsce. Analizujący znaczenie UKIP na brytyjskiej scenie politycznej wpływowy dziennik „The Daily Telegraph” uznał, że co prawda przesadą byłoby twierdzić, że w wyborach do Westminsteru, które są zaplanowane na przy-

szył rok, partia Farage’a uzyskała 10 proc. głosów, lecz nie sposób również wyobrazić sobie sytuacji, że pozyskuje, tak jak poprzednio, zaledwie 3 proc. A dzieje się to w sytuacji, kiedy UKIP oskarżany jest przez liberalne media o wszelkie możliwe „grzechy” we współczesnej demokracji: populizm, rasizm, antyimigranckość i niechęć wobec homoseksualistów.

To, co wydaje się siłą partii brytyjskich eurosceptyków, jest jednocześnie słabością ich lidera. Brytyjski system wyborczy przesądza o tym, że Partia Niepodległości, owszem, może spowodować wyborczą klęskę Davida Camerona, ale nie może nawet marzyć nie tylko o tym, by samodzielnie stworzyć rząd lub choćby znaleźć się w Izbie Gmin.

Skazuje to Farrage’a na pozostawanie w ciągłej opozycji, nawet jeśli są to luksusowe ławy parlamentu w Brukseli. Tymczasem lider UKIP jest dziś bez wątpienia jednym z najwybitniejszych (zapewne obok lidera szkockich nacjonalistów Alexa Salmonda) brytyjskich polityków. Z łatwością nawiązuje kontakt z wyborcami, nie ma w nim nic z wyższości elit z Oksfordu i Cambridge, jaka charakteryzuje otoczenie premiera Camerona. Lata, które Farrage spędził w Parlamencie Europejskim, przyniosły mu też zasłużoną sławę znakomitego mówcy, obdarzonego niewyparzoną mową i poczuciem humoru. Słynne jest np. jego określenie „prezydenta” Unii Europejskiej Hermana Van Rompuy’a jako człowieka o charyzmie ofiary losu; co w polskich mediach przetłumaczono dosłownie, jako „charyzmę mokrej ścierki”.

Na jego tle brytyjscy politycy – może z wyjątkiem mera Londynu Borisa Johnsona – wypadają wyjątkowo blado. Pytanie, które coraz bardziej pochłania „polityczny” Londyn brzmi więc: czy Farrage

zadowolony jest ze swojej obecnej pozycji, czy też jego ambicje sięgają wyżej? Czy szykuje się do objęcia jakiejś znaczącej funkcji rządowej, do której jest tak naprawdę predysponowany? Pytania są tym bardziej zasadne, że Nigel Farrage to polityk młody, urodzony w 1964 r.

Torys w przebraniu

Pewne światło na polityczne ambicje Farrage’a rzucił wywiad, jakiego na początku roku 2014 udzielił brytyjskim mediom inny znaczący polityk UKIP, również eurodeputowany, Godfrey Bloom. Stwierdził on, że wewnątrz Partii Niepodległości trwa zawzięta walka dotycząca przyszłości tej partii, którą przyrównał do krwawych porachunków w partii nazistowskiej, zwanych „nocą długich noży”.

Pytanie, które coraz bardziej pochłania „polityczny” Londyn, brzmi: czy Farrage zadowolony jest ze swojej obecnej pozycji, czy też jego ambicje sięgają wyżej?

Zdaniem Blooma Farrage zawsze w głębi serca był torysem [tj. sympatykiem partii konserwatywnej], i „desperacko pragnie stać się nim ponownie”. Stąd też – rzekomo – doszedł już z konserwatystami do porozumienia dotyczącego współpracy podczas wyborów parlamentarnych. Miałby za to zostać wynagrodzony tytułem szlacheckim i miejscem w Izbie Lordów. Bloom nie ma jednak powodów, by darzyć jakąkolwiek sympatią Farrage’a. Po serii wpadek, jak choćby uderzenie dziennikarza

broszurą UKIP czy też określenie brytyjskiej pomocy dla Afryki jako „pomocy dla krajów Bongo-Bongo”, Bloom opuścił szeregi formacji i jest obecnie politykiem niezależnym.

Także biorąc pod uwagę opinie, jakie Farrage publicznie wygłasza pod adresem urzędującego premiera, wydaje się, że takie porozumienie jest po prostu niemożliwe. Zresztą takie rozwiązanie również byłoby dla lidera UKIP polityczną emeryturą, tyle że ubraną w bardziej nobliwy kostium niż europośla. Nie oznacza to jednak, że zbliżenie Farrage’a z konserwatystami w ogóle jest nierealne.

Warto zwrócić uwagę, że słynący z niewybrednego języka polityk w swoich atakach starannie pomija niektórych znaczących polityków konserwatywnych, takich jak Michael Gove (minister edukacji w rządzie Camerona) czy też wzmiankowany już Boris Johnson. Ten ostatni zresztą ma o Farrage’u bardzo dobre zdanie, twierdzi, że lider eurosceptyków w istocie jest „kimś, kto jest całkowicie od nas nieodróżnialny”. Wydaje się więc, że w przyszłości jakiś rodzaj sojuszu między UKIP a Partią Konserwatywną jest możliwy. Tym bardziej że torysi w swojej historii niejednokrotnie wchłaniali już nowe prawicowe partie, mogące zagrozić ich dominującej pozycji politycznej.

Zbliżenie UKIP z Partią Konserwatywną może za sobą pociągnąć znaczące zmiany w brytyjskiej polityce. O ile dziś wśród rządzących konserwatystów frakcje zwolenników Unii Europejskiej i jej przeciwników wydają się równie silne, to zbliżenie z ugrupowaniem eurosceptyków Farrage’a może tę delikatną równowagę zniszczyć raz na zawsze. Wydaje się także, że w takim przypadku wielokrotnie zapowiadane referendum w sprawie obecności Wielkiej Brytanii w UE wreszcie doszłoby do skutku.

Dlaczego Brytyjczycy nie kochają Unii?

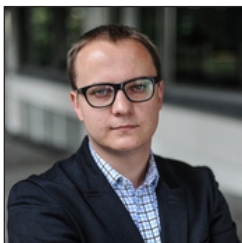
Warto tutaj bliżej przyjrzeć się brytyjskiej niechęci do UE, która zwłaszcza w Polsce niejednokrotnie przedstawiana jest w nieco groteskowy sposób. Kiedy Wielka Brytania przystępowała – nie bez pewnych oporów – do struktur integrującego się kontynentu, robiła to wyłącznie z powodów ekonomicznych, traktując Europę jako jedną wielką strefę wolnego handlu.

Tworzenie się struktur politycznych dzisiejszej Unii Europejskiej zawsze w Wielkiej Brytanii przyjmowane było natomiast z rezerwą. U jej źródeł była tradycyjna w brytyjskim myśleniu politycznym niechęć do silnych instytucji politycznych obejmujących całą Europę, jak również zasadnicza różnica między brytyjskim a kontynentalnym systemem prawnym.

Jeśli więc mówimy o brytyjskim wyjściu z UE, czyli, jak określają to na Wyspach: „Britexit”, to trzeba pamiętać, że pod tym terminem ukrywa się jedynie (a może aż?) opuszczenie struktur politycznych Unii przy jednoczesnym pozostaniu w strukturach gospodarczych. W żadnym zaś wypadku nie jest to pomysł na całkowite odwrócenie się Wielkiej Brytanii od Europy.

Także z polskiego punktu widzenia warto obserwować polityczne działania Nigela Farrage’a. Wzrost znaczenia UKIP, jego potencjalna współpraca z Partią Konserwatywną znacząco wpłyną na stanowisko Wielkiej Brytanii wobec Unii Europejskiej, zwłaszcza jej inicjatyw politycznych. Przede wszystkim jednak brytyjski eurosceptycyzm przesunąłby się z marginesów sceny politycznej, gdzie można go łatwo zdyskredytować, do samego centrum brytyjskiej polityki.

A jednak neokolonializm



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Redaktor naczelny „Nowej Konfederacji”

Czy Leszek Skiba naprawdę chce powiedzieć Polakom, że mają pracować jeszcze więcej za jeszcze mniej? Czy trzeba kolejny raz obalać mit o „kapitale bez narodowości”? Mam nadzieję, że nie.

Kwestionując związek między penetracją gospodarczą a polityczną, a także – choć już nie wprost – próbując podważyć diagnozę neokolonialną, ekspert Instytutu Sobieskiego w opublikowanym niedawno na łamach „Nowej Konfederacji” tekście popada w sprzeczności. Ich rozwikłanie – jak spróbuję pokazać – tylko obiekt jego ataku wzmacnia.

Gwoli przypomnienia: teoria neokolonialna zakłada, że podobne do tych z epoki kolonializmu relacje dominacji i podporządkowania nadal rządzą światem, choć w inny – nade wszystko: ukryty i skoncentrowany na gospodarczej penetracji – sposób.

Fabrykacje i konsekwencje

Skiba zarzuca mi, że mówiąc o neokolonizacji Polski, próbuję odpowiedzieć na zbyt wiele pytań jednocześnie. Jego zdaniem szukanie wspólnych przyczyn takiego, a nie innego kształtu ładu światowego oraz impotencji rodzimej polityki

musi prowadzić do „ślepego zaułka” i „dziwaczkich wniosków”.

Jednocześnie jednak ekspert Instytutu Sobieskiego przeciwstawia diagnozie neokolonialnej wizję zglobalizowanego świata, w którym współzależności międzynarodowe są powszechne i bezalternatywne. Nie dostrzega logicznego zgrzytu w sugerowaniu na tym samym wydechu, że sprawy krajowe i globalne należy rozpatrywać osobno.

Ważniejsza jest jednak inna sprzeczność. Z jednej strony, kwestionuje Skiba znaczenie penetracji Polski przez Zachód. Z drugiej, mówi o niebezpieczeństwie znalezienia się w orbicie „znacznie mniej cywilizowanych hegemonów” (przyznając pośrednio, że jednak jesteśmy dziś krajem podporządkowanym). Imputuje mi przy okazji „mrzonki o wychodzeniu poza system zachodni”.

Tego ostatniego nigdy nie postulowałem. Schopenhauer powiedziałaby, że Skiba „fabrykuje konsekwencje”: ze stwierdzenia o zachodniej neokolonizacji ma

jakoby nieuchronnie wynikać żądanie opuszczenia systemu zachodniego.

Nic podobnego. Gdyby tak było, nie przestrzegalbym przed dążeniem do rewolucji i nie postulował dekolonizacji ewolucyjnej. Nie chwaliłbym dokonującej się w ostatnich latach – pod panowaniem wciąż kompradorskich przeciw elit – repolonizacji banków czy odparcia próby wrogiego przejęcia PZU przez Eureko. Mówiłem o tym m.in. po to właśnie, żeby, stawiając trudną diagnozę, nie przesadzić z bolesnością terapii.

Podobnym „fabrykowaniem konsekwencji”, jak w sprawie rzekomego wypychania przez mnie Polski w objęcia „mniej cywilizowanych hegemonów”, jest sugestia Skiby, że postulowany przez mnie antykolonializm wiąże się nieuchronnie z utopijnym dążeniem do gospodarczej autarkii.

Znów: nie tylko nic takiego nie twierdziłem, ale mam zdanie odwrotne. Dekolonizacja nie ma oznaczać wygnania wszystkich zagranicznych przedsiębiorców. Przecież to absurd. Uważam, że świetnym przykładem awansu w globalnej hierarchii gospodarczej są Chiny, które wpuściły na wielką skalę zagraniczny kapitał, lecz tak żeby nie popaść w neokolonialną zależność i nie utracić kontroli nad strategicznymi branżami i firmami. Uszczegółowienie tej tezy wymaga osobnego tekstu, dopowiem więc tu tylko, że sądzę, iż – pomimo ogromnej różnicy skali i sytuacji – z doświadczeń Państwa Środka możemy wyciągnąć wiele podpowiedzi co do przyszłej „polskiej drogi”.

Kwestionując tymczasem znaczenie polskiej zależności gospodarczej od Zachodu, porównuje nas Skiba do Niemiec. To świetny przykład w dziedzinie budowania potęgi, ale trudno o gorszy, gdy chodzi o porównanie bieżących potencjałów – co ekspert IS właśnie robi. Mowa

bowiem o kraju, w którym wszystkie strategiczne przedsiębiorstwa są w rodzimych rękach. Dodatkowo, czy naród będący największym zagranicznym właścicielem działających nad Wisłą banków i mediów, czołowym udziałowcem tutejszego wielkiego handlu oraz wielu innych branż – i mający podobne interesy w wielu innych krajach – rzeczywiście można porównywać z Polską? Owszem, ale na zasadzie kontrastu.

Płynie sobie ten strumień wypracowywanej w Polsce gotówki, dzień po dniu, od ćwierć wieku, prosto do kieszeni „zachodnich przyjaciół”

Niemcy są dziś neokolonizatorem pomimo swojej słabości wojskowej i związanych z nią ograniczeń politycznych, które Skiba wylicza. Niewątpliwie, kiedy – dajmy na to – amerykańskie bazy wojskowe znikną z nad Renem, a Republika Federalna zbuduje armię równą francuskiej czy brytyjskiej – poznamy znacznie lepiej mocarstwowe walory naszego sąsiada. Nie zmienia to jednak faktu, że i dziś są one duże.

Podmiotowość a suwerenność

O penetracji Polski przez zewnętrzne podmioty pisze Skiba, że „gdyby był to rzeczywiście najważniejszy problem, przed którym stoi nasz kraj, to pojęcie suwerenności byłoby pojęciem pustym. Nie istnieje bowiem na świecie państwo, które

nie jest poddane formalnym lub niejawnym wpływom zewnętrznych ośrodków”.

Jasna rzecz: „suwerenność” nie jest pustym słowem. Ale podzielam pogląd, że w dobie globalizacji jest pojęciem niewystarczającym do wyjaśnienia, „kto kim kręci” w stosunkach między narodami. Inaczej niż „podmiotowość”. Suwerenna jest i Polska, i Białoruś, i Niemcy, i Stany Zjednoczone. Pierwsze dwa kraje w przeciwieństwie do dwóch ostatnich nie są jednak podmiotowe, czyli zdolne do realizacji swoich interesów.

Na tym właśnie polega jedna z zalet diagnozy neokolonialnej, że – pod powłoką globalnej społeczności suwerennie równych państw – pozwala dojrzeć relacje podporządkowania i wyzysku jednych krajów przez drugie.

Skiba kpi z tych kategorii. Jak gdyby nie znał danych NBP o tym, że tylko w zeszłym roku zagraniczne firmy wyprowadziły z Polski 7,9 mld euro w formie dywidend (gdy 2,2 mld spłynęły ze spółek matek). Jest przy tym tajemnicą poliszynela, że jednocześnie stosują one rozmaite sztuczki – jak zaniżanie dochodów czy zawyżanie cen usług zaprzyjaźnionych firm (zwykle z tego samego kraju) – do unikania (i tak niesprawiedliwie niskiego) opodatkowania i także nielegalnego transferu zysków za granicę.

W skali makro to grube miliardy, o czym świadczy choćby to, że tylko w pierwszych dwóch latach ostatniego kryzysu finansowego „saldo błędów i opuszczeń” w naszym bilansie płatniczym wzrosło o ponad 40 mld zł.

Płynie więc sobie ten strumień wypracowywanej w Polsce gotówki, dzień po dniu, od ćwierć wieku, prosto do kieszeni „zachodnich przyjaciół”. Podobnie z innych krajów regionu, z Afryki, z Ameryki Łacińskiej. Kierunek zawsze ten sam:

peryferie–centrum. A Skiba karmi nas znaną, neoliberalną wizją „oczywistych współzależności doby globalizacji”. I każe nam „doganiać Zachód” w tych właśnie warunkach.

Czy naprawdę chce powiedzieć Polakom, że mają pracować jeszcze więcej za jeszcze mniejsze pieniądze, by osiągnąć legendarną „konkurencyjność w międzynarodowej rywalizacji”? Czy rzeczywiście trzeba kolejny raz obalać propagandowy mit o „kapitale bez narodowości”? Mam nadzieję, że nie.

Zamiast nieadekwatnych przykładów Niemiec czy Turcji spójrzmy na dzielące z nami podobny los Węgry. Czy wyrzucając z Budapesztu „przyjaciół” z Międzynarodowego Funduszu Walutowego i zapowiadając koniec kolonizacji, Viktor Orbán również „zabrnął w ślepy zaułek” i wygadywał „dziwactwa”? Sądzę, że jednak starał się wykorzystać rzadką okazję do „przesunięcia się w ramach systemu zachodniego z trzeciej ligi do drugiej”.

Polityka peryferyjna

Wreszcie, pisze Skiba: „Radziejewski wierzy, że im większy jest wpływ ośrodków zewnętrznych, tym słabsze jest państwo. Jego błąd polega na tym, że uznaje, iż do gry w piłkę nożną potrzebne są narty”.

Czyżby? Zgoła odmienne są ustalenia giganta ekonomii politycznej, Immanuela Wallersteina. W „Nowoczesnym systemie-świecie”, czterech tomach zawierających drobiazgową analizę i wnikliwą syntezę zarówno historii, jak i współczesnej sytuacji gospodarczej, badacz ten mówi rzecz przeciwną do Skiby. Mianowicie, o ile budowa silnej gospodarki kapitalistycznej jest organicznie związana z budową silnego państwa, o tyle na peryferiach słabości gospodarki towarzyszy degeneracja tradycyj-

nych instytucji władzy, z którą nie łączy się powstanie alternatywnych sposobów organizacji politycznej. Stąd Wallerstein skłonny jest wręcz odmawiać peryferiom (formalnie rzecz biorąc – suwerennie równym centrom, a jakże) miana państw.

Nie trzeba jednak nawet zgłębiać tak opasłych tomów, żeby dojść do podobnych wniosków. Wystarczą lektura gazet doby kryzysu i zdrowy rozsądek. Czy bowiem w czasach, gdy „drzwi obrotowe” między światem finansów a polityki kręcą się częściej niż kiedykolwiek, gdy banki półotwarcie kupują polityków, zaś rynki finansowe obalają rządy, trzeba specjalnie roz wodzić się nad tezę, że gospodarka ma polityczne znaczenie?

Czy wymaga rozwlekłego dowodzenia twierdzenie, że wielki kapitał miewa związki z polityką? Czy konieczne jest drobiazgowo przekonywanie, że skoro największe supermarkety w danym kraju praktycznie nie płacą podatków, to powstanie na tych ziemiach sprawnego państwa, a więc i sprawnego fiskusa – nie leży w ich interesie?

W jednym ma Skiba rację: żeby awansować w międzynarodowym podziale pracy z pozycji peryferyjnego rynku zbytu, trzeba „rozpoznać reguły gry”. Jedną z kluczowych jest neokolonialna – a nie „postkolonialna”, jak czytamy u mojego polemisty – natura współczesnych stosunków międzynarodowych.

Wesprzyj nas

Dzięki Darczyńcom „Nowa Konfederacja” powstała i działa. Dzięki Darczyńcom będzie mogła nadal istnieć i rozwijać się.

Dlatego prosimy o wsparcie! Każda złotówka, jeśli ma charakter stałego zlecenia przelewu, ma dla nas istotne znaczenie.

Wpłaty prosimy kierować na rachunek bankowy wydawcy „Nowej Konfederacji”, Fundacji Nowa Rzeczpospolita:

09 1560 0013 2376 9529 1000 0001 (Getin Bank)

W tytule przelewu prosimy wpisać: „darowizna na cele statutowe”.

Dlaczego warto nas wspierać?

Rynek w obecnej postaci nie sprzyja poważnej debacie o państwie i polityce. Dowodem są wszechobecne i pogłębiające się procesy tabloidyzacji i upartyjnienia mediów opiniotwórczych. Z drugiej strony, zaawansowana wiedza o polityce jest coraz częściej dostępna jedynie dla nielicznych i za coraz większymi opłatami. W Polsce dochodzi do tego problem finansowania wielu ośrodków opiniotwórczych zza granicy i głęboki kryzys mediów (z nazwy) publicznych.

Jeśli ten trend ma się odwrócić, **potrzebny jest alternatywny, obywatelski model finansowania mediów**. Dobrowolny, stały mecenat wystarczająco dużej liczby Polaków umożliwi nam stworzenie prężnego ośrodka intelektualnego. Niezależnego zarówno od partii, od wielkiego kapitału, od gustów masowej publiczności, jak i od zagranicznych ośrodków. I dostarczenie darmowej, zaawansowanej wiedzy o polityce zainteresowanym nią obywatelom.

„Nowa Konfederacja” to (na gruncie polskim) projekt pionierski także pod względem sposobu finansowania. Działamy bowiem właśnie dzięki mecenatowi obywatelskiemu.

Każde stałe zlecenie przelewu jest ważne! **Dołącz do grona naszych Darczyńców i wspieraj media naprawdę publiczne!**

Darowizny na rzecz fundacji są w Polsce (art. 16 ustawy o fundacjach) **zwolnione z podatku**. Co więcej, **podlegają odliczeniu od podatku** zarówno przez osoby fizyczne, jak i prawne, zgodnie z przepisami ustaw o podatku dochodowym od osób fizycznych i prawnych.

O nas

„Nowa Konfederacja” to pierwszy w Polsce internetowy tygodnik idei. Koncentrujemy się na tematyce politycznej o znaczeniu strategicznym. „NK” to medium misyjne, tworzone przez obywateli – dla obywateli. Jako pierwsi w Polsce działamy profesjonalnie wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców.

Stawiamy sobie **trzy cele główne.**

Po pierwsze, chcemy tworzyć miejsce poważnej debaty o państwie i polityce.

Dziś takiego miejsca w Polsce brakuje. Wskutek postępujących procesów tabloidyzacji oraz uzależnienia mediów opiniotwórczych od partii i wielkiego kapitału, brak ten staje się coraz bardziej dotkliwy.

Stąd, w środowisku skupionym dawniej wokół kwartalnika „Rzeczy Wspólne” – poszerzonym po rozstaniu z Fundacją Republikańską w kwietniu 2013 o nowe osoby – powstał pomysł stworzenia internetowego tygodnika idei. Niekomercyjnego i niezależnego medium, wskrzeszającego formułę głębokiej publicystyki. Mającego dostarczać zaawansowanej wiedzy o polityce w przystępnej formie.

Nasz drugi cel to pełnienie roli pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.

Współczesna Polska jest intelektualną półpustynią: dominacja tematów trzeciorzędnych sprawia, że o sprawach istotnych mówi się i dyskutuje rzadko, a jeśli już, to zazwyczaj na niskim poziomie. Tym niemniej, w świecie akademickim i eksperckim rodzą się niekiedy ważne diagnozy i idee. Media głównego nurtu przeważnie je ignorują. „Nowa Konfederacja” – ma je przybliżyć.

Cel trzeci to aktualizacja polskiej tradycji republikańskiej.

Republikanizm przyniósł swego czasu Polsce rozkwit pod każdym względem. Uważamy, że jest wciąż najlepszym sposobem myślenia o polityce – i uprawiania jej. Co więcej, w dobie kryzysu demokracji, jawi się jako zarazem remedium i alternatywa dla liberalizmu. Jednak polska tradycja republikańska została w dużym stopniu zapomniana. Dążymy do jej przypomnienia i dostosowania do wymogów współczesności.

Dlaczego konfederacja? Bo to instytucja esencjonalna dla polskiej tradycji republikańskiej – związek obywateli dążących razem do dobra wspólnego w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą. W naszej historii konfederacje bywały chwalebne (konfederacja warszawska 1573 r., sejmy skonfederowane jako remedium na liberum veto), bywały też zgubne (Targowica). Niemniej, zawsze były potężnym narzędziem obywatelskiego wpływu na politykę.

Dzisiejszy upadek debaty publicznej domaga się nowej konfederacji!

„Nową Konfederację” tworzą

Darczyńcy:

Pięćdziesięciu Pięciu Anonimowych Darczyńców, Jacek Bartosiak, Jerzy Martini, Marek Nowakowski, Krzysztof Poradzisz, Piotr Remiszewski, Piotr Woźny (Lista Darczyńców jest uaktualniana na początku każdego miesiąca)

Redakcja:

Michał Kuź, Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Aleksandra Rybińska, Przemysław Skrzydelski (p.o. sekretarza redakcji)

Redaktor prowadzący:

Michał Kuź

Stali współpracownicy:

Jacek Bartosiak, Michał Beim, Krzysztof Bosak, Tomasz Grzegorz Grosse, Maciej Gurtowski, Bartłomiej Kachniarz, Krzysztof Koehler, Andrzej Maśnica, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Barbara Molska, Agnieszka Nogal, Bolesław Piasecki, Adam Radzimski, Stefan Sękowski, Zbigniew Stawrowski, Tomasz Szatkowski, Stanisław Tyszka, Krzysztof Wołodźko, Piotr Woyke

Grafika (okładki):

Piotr Promiński

Administracja stroną internetową, korekta, redakcja stylistyczna:

Przemysław Skrzydelski

Komunikacja internetowa:

Michał Kuź

Skład:

Rafał Siwik

Wydawca:

Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt:

redakcja@nowakonfederacja.pl

Adres (wyłącznie do korespondencji):

Al. Solidarności 115, lok. 2, 00-140 Warszawa